

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Cieśla
Joanna Podgórska
Co warto dziś studiować?
- 15 Malwina Dziedzic
**Drybling władzy,
pressing opozycji**

12



Po co komu studia

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska
**Jak się mają
pisowskie przystawki**
- 21 Rafał Kalukin
Atrapa marszałka
- 24 Marek Świerczyński
**Rakiet nie będzie,
śmigłowców nie będzie,
niczego nie będzie**

15



Opozycja w obronie i ataku

Społeczeństwo

- 26 Adam Grzeszak
Futbol reklamowy
- 30 Joanna Leszczyńska
**Jak żyć
w „mieście PiS”?**
- 33 Violetta Krasnowska
Sklep na cmentarzu
- 36 Paweł Walewski
Z autyzmem w dorosłość



44



Wahadło sułtana Erdoğan

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Narodowe e-auta
- 42 Witold M. Orłowski
Luzowanie ekonomii

Świat

- 44 Łukasz Wójcik TURCJA
Ze skrajności w skrajność
- 48 Adam Krzemiński AUSTRIA
**Kurtz – nadzieja
europejskich narodowców**
- 50 Jędrzej Winiecki
KOREA PÓŁNOCNA
Turystyka wysokiego ryzyka

92



Ziemia oblegana

Historia

- 54 Rafał Woś
Gospodarcze oblicze PRL

- 57 Jacek Tebinka
**Katastrofa gibraltarska:
spiskowe teorie Goebbelsa**

Nauka

- 60 Andrzej Holdys
Hernando bibliofil
- 63 Technoecho
- 64 Jan Polowczyk, Ewelina Marek
**Dlaczego ludzie nie
zachowują się racjonalnie**

Kultura

- 70 Bartek Chaciński
**7 grzechów głównych
muzyki rozrywkowej**
- 73 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 74 **Sebastián Lelio** o tym,
jak kino zmieniło Chile
- 76 Justyna Sobolewska
Literackie tortury
- 78 **Rozmowa ze zdobywcami
Grand Prix Nagrody
Architektonicznej POLITYKI**

Ludzie i style

- 80 Martyna Bunda, Ewa Wilk
Jak Polak dba o ciało
- 84 Marcin Piątek
**Na boisku trzeba
ruszyć głową**

Na własne oczy

- 92 Edyta Gietka
fotografie Anna Musiałówna
**Krakowskie Przedmieście:
deptak narodowy**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 66 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Stomma
- 89 Tym • 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Na kanapie siedzi leń

Brawurowym przegłosowaniem zmian w ustawie o IPN polski parlamentaryzm pokazał, że obecnie jest jednym z najszybszych na świecie.

Rekordowy czas biało-czerwonej drużyny pod wodzą prezesa Kaczyńskiego odnotowały wszystkie światowe agencje. Jak się okazało, ta drużyna jest doskonale wytrenowana i jak chce, to może, a nawet jak nie chce, to też może, pod warunkiem że ją Amerykanie trochę postraszą.

Szkoda, że nie wszyscy są tak wytrenowani jak Sejm i Senat. Z obozu rządzącego dochodzą niepokojące sygnały, że niektórzy utrudzeni wstawaniem z kolan Polacy utracili zapaf, opadli na kanapy i wpatrzeni w telewizory popadli w samozadowolenie. Dlatego nie dziwi się, że na spotkaniu z mieszkańcami Strzelec Opolskich posłanka PiS Joanna Lichocka wezwała tych Polaków, żeby się ogarnęli. „Trzeba odłożyć pilota i wstać z kanapy. Na kanapie Polski nie zmienimy” – przypomniała Lichocka.

Zdaniem Lichockiej na wylegiwanie się na kanapie jeszcze przyjdzie czas, a teraz do zrobienia jest wiele rzeczy, które same się nie zrobią, np. wygranie wyborów samorządowych. Nie kryła jednak, że po trzech latach rządów PiS zadowolenie nas, Polaków, jest w pełni uzasadnione. „Mamy fajnego premiera, super panią wicepremier, całkiem sympatycznego prezydenta, a Jarosław



Kaczyński stoi na czele obozu rządzącego. Cóż chcieć więcej?” – zapytywała zebranych.

Nie wiem, jak ci zebrani, ale powiem szczerze, że ja osobiście nic więcej już nie chcę, bo to, co wymieniła Lichocka, absolutnie mi wystarcza. Uważam nawet, że jako Polacy na aż tyle zwyczajnie sobie nie zasłużyliśmy. Jeśli miałbym uwagi, to tylko takie, że nie wiem, dlaczego Lichocka pominęła marszałka Karczewskiego, który też jest fajny i miłusi, aż zęby bołą. No i uważam, że prezydent Duda mógłby być trochę bardziej sympatyczny dla pana Macierewicza, który jest przecież starszy, a jeśli coś źle robił, to dla Polski, a nie dla siebie.

Moja postawa to, niestety, smutny przejaw minimalizmu i braku ambicji, dlatego zdaję sobie sprawę, że Lichocka nie apeluje do mnie, tylko do Polaków pragnących włączyć się w nurt zachodzących w kraju przemian. Wymaga to od nich powstania z kanap, ale wygląda na to, że się ociągają, co rodzi pytanie, czy stwarzając polskim rodzinom możliwość zakupu kanap i telewizorów, PiS trochę nie przeszarżowało? Może trzeba było najpierw dokończyć przemiany, a dopiero potem rozdawać pieniądze, zamiast najpierw wszystko rozdać, a teraz prosić się o pomoc ludzi, którzy kanapy i telewizory już mają, a wkrótce, podburzeni przez totalną opozycję, kto wie, czy nie zażądają ciepłej wody w kranach.



Zużycie paliwa poza miastem/w mieście/średnie: 6,3-6,9/7,1-9,0/6,8-7,5 l/100 km; średnia emisja CO₂: 167-238 g/km*.



Wyjedź do pracy, wróć po wakacjach.

Poznaj Klasę V – samochód, którym wybierzesz się na spontaniczną wycieczkę z całą rodziną i codzienną podróż do pracy. Teraz z atrakcyjnym pakietem wyposażenia, rabatem 10 000 zł netto i 2-letnim pakietem gwarancyjnym w promocyjnej cenie**.

*Podane wartości ustalone zgodnie z określoną przepisami procedurą pomiarową. Są to „wartości CO₂ NEDC” w myśl art. 2 nr 1 rozporządzenia wykonawczego (UE) 2017/1153. Zużycie paliwa zostało obliczone na podstawie tych wartości.

**2 lata gwarancji producenta i dodatkowe 2 lata całopojazdowej ochrony gwarancyjnej do maks. 120 tys. km.



Rabat
10 000 zł netto



2 lata dodatkowej gwarancji
w promocyjnej cenie

Mercedes-Benz

The best or nothing.



[Kup książkę](#)

Mecz o wszystko



Jerzy Baczyński

Jeszcze zdanie o mundialu i już wracamy na boisko krajowe. Parafrazując znane powiedzonko Gary'ego Linekera, piłkarskie mistrzostwa świata to gra, w której startuje 32 rywale, ale na końcu wszyscy – oprócz jednego – przegrywają. Dlatego w tym największym globalnym targowisku narodowych tożsamości ważniejszy od wyników, które i tak zaraz zostaną zapomniane, jest styl. Maroko, Iran czy Tunezja z grupy eliminacyjnej nie wyszły, ale świata, setkom milionów widzów, zaimponowały. I w sumie o to można mieć pretensję do drużyny Nawalki, że nawet w ostatnim spotkaniu, nazywanym meczem o honor, pozorując grę w finałowych minutach, ośmieszili siebie i własną, niewiele wartą, wygraną.

A ponieważ to jednak „reprezentacja narodowa”, to i trochę nam wszystkim uszkodzili wizerunek. Jasne, że chodzi tu o wizerunek popkulturowy, bo taki obsługuje piłka nożna, ale to tym gorzej, gdyż tam narodowe stereotypy zalegają najgłębiej. Słowem: walczyliśmy o honor, a przez jakieś nieudacznictwo narobiliśmy sobie wstydu przed całym światem. Dokładnie jak z ustawą o IPN. Na korzyść Adama Nawalki przemawia przynajmniej to, że nie próbował kłamać i wziął na siebie odpowiedzialność za sportowy i wizerunkowy blamaż.

Tymczasem premier Mateusz Morawiecki, po wymuszonej nowelizacji kompromitującego „Holocaust Law”, oświadczył: „Polska umie wygrywać!”. Pytanie, czy rządzący nie mogliby sobie pozwolić na podobne zwycięstwo przez wycofanie w sprawie Sądu Najwyższego, na co także naciskają nasi zagraniczni partnerzy? Niestety, tu odpowiedź musi być negatywna, nawet jeśli nastąpią jakieś taktyczne cofnięcia: o ile w sprawie ustawy o IPN był to od początku mecz o honor, o tyle sprawa sądów ma już charakter meczu o wszystko. Tu rewolucja sama się nie zatrzyma, bo podważyłaby własną logikę i bezpieczeństwo.

W oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków warto się może zastanowić, jaki będziemy mieli ustrój, kiedy już PiS osiągnie, co zamierza: pełnię władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. Nie ma jeszcze adekwatnych określeń na autorytarne systemy polityczne, które instalują się w krajach, gdzie załamała się, bądź w ogóle nie uformowała, demokracja liberalna. Każdy taki kraj znajduje jakąś własną wersję ustroju, na ogół jawnie lub symbolicznie odwołującą się do lokalnej historycznej tradycji, mitologii, może nawet – jeśli coś takiego istnieje – społecznej podświadomości. Nie trzeba specjalnej wiedzy historycznej, żeby odkryć, że w Rosji odtwarza się stale jakaś wersja caratu: po białym – czerwony, obecnie białe-czerwono-niebieski, czyli narodowy, w wersji putinowskiej; z całym kremlowskim sztafżem, lokalnymi bojarami, sojuszem z Cerkwią, imperialną ideologią.

Albo Turcja: po ostatnich wyborach reżim Erdoğan powołany jest nie nazywany jest nowym sułtanatem, wschodnią, islamską wersją brutalnej satrapii. Lub Węgry: autorytarny, oligarchiczny system zbudowany w tym kraju jednym przypomina „gulaszowy socjalizm” Jánosa Kádára, innym przedwojenny nacjonalistyczny, wielkowęgierski reżim admirała Horthyego („admirala bez floty, w kraju bez morza” – co też jakoś pasuje do megalomanii Viktora Orbána). A u nas? Gdyby przyjąć, że nie obronimy w Polsce liberalnej demokracji, skopionanej z Zachodu, czy jest jakiś swojski model, do którego Kaczyński, przeprowadzając swoją wielką rekonstrukcję historyczną, chciałby, czy też próbuje, nawiązać? Mam tu pewną teorię.

W 100-lecie polskiej odzyskanej niepodległości „normalna”, według standardów zachodnich (choć nie wolna od napięć), demokracja parlamentarna funkcjonowała przez mniej więcej 35 lat. PiS, odrzucając demokratyczny „imposybilizm”, a opozycję mianując zdrajcami, czerpie raczej z tej drugiej części tradycji. A tam mamy głównie sanację oraz PRL. I tzw. IV RP wydaje się fuzją, może nawet sumą, obu systemów.

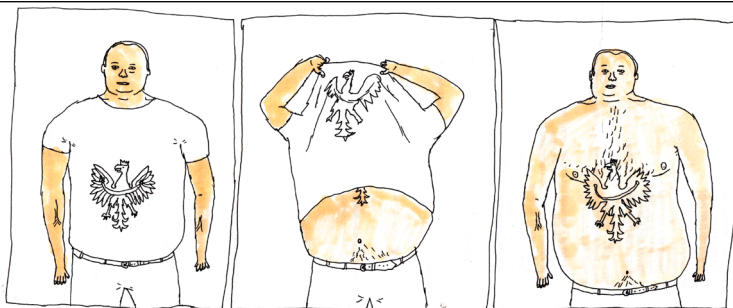
Z sanacji pochodzi pierwszy filar ideologii państwowej: władza moralnie należy się prawdziwym twórcom (nowej) niepodległości Polski (czyli dzisiaj Jarosławowi Kaczyńskiemu) oraz ich legionistom; z PRL drugi filar: władza jest sprawowana w imieniu ludu, a partia jest tego ludu awangardą. Istotą polityki wewnętrznej staje się ciągła naprawa, sanacja państwa (jak w II RP) oraz nieustanna walka z potężnymi wrogami ludu, klasami i kastami, wysługującymi się zachodnim mocarstwom (to już PRL). IV Rzeczpospolita ma być w swej istocie katolickim państwem narodu polskiego (sanacja), dokonującym rewolucji społecznej poprzez stopniową nacjonalizację gospodarki, centralne inwestycje i państwowe świadczenia (PRL). Krajem tym rządzi Naczelnik Państwa, inkarnacja Józefa Piłsudskiego, ale – inaczej niż Marszałek – jest on jednocześnie Pierwszym Sekretarzem, działającym według peerelowskiej formuły „kierowniczej roli partii”, co znaczy, że rząd, prezydent, Sejm, a nawet sądy nie stanowią odrębnych układów władzy, ale pasy transmisyjne partii, zaś rządy ludu realizują się poprzez partyjne kadry.

Analogie i cytaty można ciągnąć długo i nieźle się bawić – jeśli ktoś ma do tego nastrój – w rozpoznawanie w dzisiejszej państwowej polityce i propagandzie wątków postsanacyjnych i postpeerelowskich (innych w niej, w zasadzie, nie ma).

Oczywiście Polacy mogą taki miks historyczny zaaprobować jako ustrój przyszłości. Czemu nie? Szacunek dla politycznego pluralizmu, praw mniejszości, równowagi i rozdziału władz nie jest u nas specjalnie głęboko zakorzeniony (o czym m.in. pisze Rafał Kalukin na s. 21). Nie działają przestrogi historyczne, bo w państwowej propagandzie okres II RP jest gloryfikowany, a i ustrój polityczny PRL podlega swoistej rehabilitacji (co Rafał Woś opisuje na s. 54). Opozycja antypisowska pozostaje zaś zbyt słaba, załęknioma i podzielona (artykuł Malwiny Dziedzic na s. 15), by twardo bronić tradycji III RP, dorobku polskiej transformacji i liberalnej demokracji. Ale, z drugiej strony, PiS wciąż nie może przekroczyć pułapu około jednej trzeciej sondażowego poparcia. Więc jak jest?

Żebyśmy się przekonali, jaka jest prawda o Polakach u progu trzeciej dekady XXI w., trzeba jednak przede wszystkim upilnować samych reguł rywalizacji, czyli rzetelności wyborów. Bo potem już równych szans wyborczych może nie być. Zaczął się polski mecz o wszystko; o honor zresztą też.

Jan Koza



© JAN KOZA



Samoobrona

Ewa Siedlecka

Wśród sędziów Sądu Najwyższego – takie były zapowiedzi – stawia się pod sądem z togami, żeby wprowadzić tam Pierwszą Prezes Małgorzatę Gersdorf, która od środy, według pisowskiej ustawy, traci prawo do orzekania w SN. A z nią 26 innych sędziów SN. „Są przewidziane formy odpowiedzialności dyscyplinarnej i służbowej, które mogą być wzięte pod uwagę” – zagroził sędziom SN w Radiu Maryja minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro.

Pod Sądem Najwyższym będą też obywatele. Może policja. Będą też media. I mogą zarejestrować sceny symboliczne dla praworządności w państwie według PiS. Straż sądowa nie ma prawa nie wpuścić sędziów, bo każdy człowiek bez broni może wejść do sądu. Nie ma też prawa nie wpuścić obywateli, którzy chcieliby wejść z sędziami. Ale w państwie PiS prawo to PiS.

Prawdopodobnie w środę rano pojawi się w sądzie wyznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę tymczasowy komisarz. Może zarządzi niewpuszczanie sędziów. Kogo posłucha straż: Pierwszej Prezes, której kadencja – w myśl konstytucji – kończy się dopiero w 2020 r.? Czy komisarza? Półtora roku wcześniej straż Trybunału Konstytucyjnego zdecydowała się wykonywać polecenia mianowanej tymczasowym komisarzem Julii Przyłębskiej. Sędziowie TK – też. Czy sędziowie SN uznają władzę komisarza?

W poniedziałek pojawił się komunikat Komisji Europejskiej, że wszczęła procedurę, która może zakończyć się zaskarżeniem do Trybunału Sprawiedliwości pisowskiej ustawy o Sądzie

Najwyższym. Uczyniła pierwszy krok w tej procedurze, czyli skierowała do polskiego rządu wystąpienie uznające tę ustawę za naruszenie gwarancji prawa do bezstronnego sądu. Rząd ma miesiąc na odpowiedź. Ale wszczęcie tej procedury nie wstrzyma „wycinki” sędziów.

Mogą to jeszcze zrobić sędziowie Sądu Najwyższego. Mogą zadać Trybunałowi Sprawiedliwości pytanie prawne: czy sytuacja, gdy sądzą konkretną sprawę, będąc zagrożeni „wycinką” (kolejni sędziowie będą wchodzić w skrócony wiek stanu spoczynku), a więc będąc uzależnieni od arbitralnej decyzji prezydenta, czy pozwoli im dalej orzekać, nie narusza prawa stron procesu do rzetelnego sądu? A zadawszy to pytanie Trybunałowi, mogą – zgodnie z orzecznictwem Trybunału Sprawiedliwości UE – zawiesić obowiązywanie przepisów o „wycince” sędziów. Nawet mimo braku odpowiedniego przepisu w polskim prawie, bo prawo Unii stosuje się w państwach członkowskich bezpośrednio, a wyroki Trybunału Sprawiedliwości – to też prawo Unii.

Sędziowie mają zatem oręż, który mogą zastosować. Powinni wykorzystać każdą możliwość interpretacji prawa zgodnie z konstytucją i ratyfikowanym międzynarodowym prawem. Nawet wtedy, gdy prowadzi to do nieposłuszeństwa sprzecznemu z nimi prawu.

Tak orzekają od miesięcy sędziowie sądów powszechnych, broniąc praw obywateli ściganych za korzystanie z konstytucyjnych wolności i praw. Mimo że władza grozi im postępowaniami dyscyplinarnymi i wydalaniem z zawodu. Sędziowie SN nie powinni okazać się pod tym względem gorsi. Obowiązkiem sędziego jest bronić prawa i praworządności. A sędziowie SN sami przyznali – także w uchwałach przyjętych 28 czerwca – że skrócenie kadencji prezes Gersdorf i „wycinka” sędziów pod pozorem obniżenia wieku emerytalnego łamią konstytucję.

Władza może, siłą parlamentarnej większości, ustanowić bezprawne prawo. Ale bez udziału sędziów i obywateli nie da rady go wyegzekwować. Sędziowie i obywatele mogą sprawić, by bezprawne prawo było martwe. Do tego nie wystarczy jednorazowa symboliczna próba wejścia do SN. Trzeba codziennego, konsekwentnego frontu odmowy wobec bezprawnego prawa: sędziów i obywateli. Odmowy kolaboracji przy łamaniu konstytucji.



Dyrektywa o jednolitym rynku cyfrowym to ratunek dla niezależnego dziennikarstwa

Istnienie niezależnej, zróżnicowanej i wiarygodnej prasy wymaga stabilności działania jej wydawców. Bez tego wydawcy prasy – drukowanej i cyfrowej – nie zapewnią rzetelnego przekazu, pozwalającego odróżnić fałsz od prawdy.

Obecnie treści prasowe są bezprawnie kopiowane i udostępniane na stronach internetowych wielu podmiotów. Wydawcy i dziennikarze nie otrzymują należnych rekompensat, a większość wpływów z reklamy w sieci wędruje do światowych gigantów technologicznych, zwiększających swą atrakcyjność dzięki wykorzystaniu cudzych treści.

Wydawcy nie zabiegają o przywileje, ale o równe traktowanie: prawo pokrewne, z którego od lat korzystają producenci filmowi, muzyczni, audiowizualni, producenci gier i programów komputerowych, bazujące na zasadzie: jeśli zarabiasz na cudzej twórczości, to podziel się zyskiem. Właśnie takie rozwiązanie, którego beneficjentami będą zarówno wydawcy, jak i dziennikarze, proponuje Komisja Prawna Parlamentu Europejskiego.

Wbrew rozpowszechnianym ostatnio dezinformacjom, prawo to NIE ZAGRAŻA WOLNOŚCI INTERNAUTÓW:

- **nie ograniczy linkowania** (hasło „podatek od linków” to FAŁSZ!)
- **zachowuje wszystkie dotychczasowe wyjątki na rzecz prywatnego użytku, odnoszące się do:**
 - cytatów,
 - ilustracji,
 - tworzenia memów,
 - prowadzenia badań naukowych,
 - kopiowania i dzielenia się treściami w kręgu osobistym itp.
- **nie dotyczy platform edukacyjnych,** usług w chmurze, platform open source, encyklopedii (np. Wikipedii) itp. Jedynie od największych, zarabiających na udostępnianiu treści, wymaga, by stosowali się do prawa autorskiego.
- **nie nakłada na internet żadnej cenzury**

Dyrektywa ma naprawić znaczące dysproporcje między wynagrodzeniem twórców a zyskiem komercyjnych platform internetowych, udostępniających różnego rodzaju utwory. Dzięki stosownym licencjom twórcy otrzymają godziwe wynagrodzenie, a internauci nadal będą mogli dzielić się utworami i przysyłać posty bez czyjkolwiek cenzury i ograniczeń.

Rozwiązanie to jest korzystne przede wszystkim dla małych i średnich, także lokalnych wydawców, których nie stać na prowadzenie długotrwałych i kosztownych procesów sądowych w obronie swych praw.

Jednolity rynek cyfrowy powinien przynosić korzyści wszystkim twórcom (w tym dziennikarzom) oraz konsumentom (w tym czytelnikom). Nie tylko kilku dominującym na rynku gigantom internetowym.

Na wprowadzeniu dyrektywy skorzystają wszyscy, także portale i wyszukiwarki, w których czytelnik znajdzie wartościowe treści.

Apelujemy zatem do Parlamentu Europejskiego, do polskich przedstawicieli w Parlamencie, naszego rządu – o wsparcie proponowanych rozwiązań prawnych, zapewniających wreszcie dziennikarzom i wydawcom godziwe traktowanie i powstrzymujących degradację prasy.

Wydawcy Prasy
zrzeszeni w Izbie Wydawców Prasy

Kup książkę



Rejterada

Wycofanie się PiS z przepisów karnych w ustawie o IPN, wprowadzonych nowelą styczniową, skłania do znalezienia odpowiedzi na parę istotnych dla polskiej polityki pytań.

Nie jest istotna kwestia, dlaczego PiS się wycofał. O tym, że tak się stanie, wiadomo było dość dawno, a zadecydowała stanowisko USA: Departament Stanu postawił znak zapytania nad siłą związków w sojuszu amerykańsko-polskim, a administracja prezydenta Trumpa zablokowała dyplomatyczne kontakty z Polską na najwyższym szczeblu. Prezydent Duda skierował w sprawie spornych przepisów karnych wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, a minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, który w tej roli kierował do Sejmu ustawę, jako prokurator generalny wydał opinię, że to, co przygotował, jest sprzeczne z konstytucją.

Istotne są natomiast pytania inne: dlaczego PiS nie czekał, aż kwestionowane przepisy zostaną uchylone przez TK, tylko uchylił je poprzez ustawę? Dlaczego ustawę uchwalono w oszałamiającym tempie – od rozpoczęcia debaty nad nią do podpisu prezydenta minęło dziewięć godzin. Dlaczego zmianę ustawy negocjowano z rządem Izraela za pośrednictwem wywiadów, a zmianie towarzyszyło wspólne – także wynegocjowane – oświadczenie premierów obu krajów, na co należała strona polska.

Brnijmy przez tych pytań gąszcz. Pytania pierwsze i drugie łączą się ze sobą. Nie czekano na rozprawę przed TK i uchwalono ustawę w takim tempie, jakby PiS ktoś – używając języka pana Zagłoby – „szydłem w słabiznę ekscytował”, bo okazało się, że brak czasu ze względu na bieg wydarzeń: szczyt NATO 11–12 lipca br. i o cztery dni późniejsze spotkanie prezydentów Trumpa i Putina. Wyobraźmy sobie, że prezydent USA nie spotyka się z prezydentem Polski na szczycie NATO, a później spotyka się z prezydentem Federacji Rosyjskiej. Nieciekawie by to wyglądało i świadczyło o międzynarodowej izolacji Polski – wtedy gdy chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

Jednakże gdyby tylko o samą możliwość spotkania z prezydentem Trumpem chodziło, to przychyliłbym się do zdania adherenta PiS prof. Andrzeja Nowaka, który trafnie zauważył: „nowelizacja zrobiona pół roku temu była zła i głupia. A dzisiejsze wycofanie się z niej, robione w sposób niezręczny, sprawia wrażenie rejterady”. Dopuszczam jednak, że nie o samo spotkanie chodziło, ale także jego sens i konsekwencje. Otworzyło się bowiem przed Polską okno możliwości doprowadzenia do stałego stacjonowania na naszym terenie brygady bojowej US Army. Pierwszy usiłował je otworzyć, choć bez skutku, Radosław Sikorski, szef MSZ w rządzie PO-PSL; w jego ślady poszli pisowscy ministrowie obrony Antoni Macierewicz i Mariusz Błaszczak i trafili na o niebo lepszą koniunkturę w postaci prezydentury Donalda Trumpa, który układów wielostronnych nie lubi i woli umowy dwustronne. Przede wszystkim wycofał Stany Zjednoczone z porozumienia irańskiego i chce zastosować sankcje gospodarcze wobec firm europejskich, które nie zwiną swoich interesów w Iranie. Stanom Zjednoczonym jest zatem potrzebna amerykańska koalicja, zwłaszcza zaś kraje z Unii, które w interesie USA będą wkładać kij w uniijne szprychy. Polska jako największy kraj wschodniej flanki NATO nadaje się do tej roli znakomicie i jeśli PiS doszedł do wniosku, że – by znów odwołać

się do Radosława Sikorskiego – nie będzie „Amerykanom robić ł(l)aski” za darmo, to mógł postawić warunek – udział we frontie antyirańskim w zamian za stacjonowanie brygady bojowej. Wtedy pretensja do PiS nie odnosi się do rejterady, ale do tego, że była konieczna, bo wydano niepotrzebną bitwę, z którą głupcy zawsze wiążą nadzieje.

Jeśli zatem na szczycie po spotkaniu Trump–Duda albo w ciągu dwóch, trzech miesięcy padnie wiarygodna zapowiedź, że obecna administracja opowiada się za stałą bazą US Army na terenie Polski, to trzeba będzie uznać, że podwiniecie ogona się opłaciło. Jeśli takiej zapowiedzi nie będzie, to okaże się, że rejterada przyniosła duży wstyd, a zysków żadnych, i lepiej było spokojnie czekać, aż wspomniane przepisy karne uchyli TK.

Jeśli stała baza amerykańska jest w tej grze, to rejterada była konieczna także ze względu na Kongres USA. Są to bowiem decyzje finansowe, które leżą wyłącznie w jego gestii. 25 maja br. Komisja Obrony Senatu USA uchwaliła swój projekt budżetu obronnego na 2019 r. z zaleceniem, by Departament Obrony sporządził studium wykonalności i celowości stacjonowania na terenie Polski jednej brygady bojowej. To otwiera drogę do stosownej decyzji o alokacji środków na 2020 r. Otóż nigdy Kongres nie wyasygnuje środków na stałą bazę amerykańską w kraju, któremu w Ameryce powszechnie zarzuca się, że środkami karnymi dławi badania nad Holocaustem. Tyle jeśli chodzi o naszego sojusznika amerykańskiego.

A Izrael? Dlaczego z nim negocjowano i zmianę ustawy, i oświadczenie premierów, co było polskim postulatem? Są możliwe dwa wyjaśnienia i nie należy ich traktować rozłącznie. Po pierwsze, wspólne oświadczenie było potrzebne PiS na polskim rynku wewnętrznym po to, by robić swoim zwolennikom z mózgu śmietanę i tłumaczyć, że rejterada to nie rejterada, ale ustępstwo, które sprawa, że „bilans jest pozytywny”, bo świat z ust Beniamina Netanjahu dowiedział się, że nie było „polskich obozów zagłady” i że obok antysemityzmu jest też antypolonizm. Tego rodzaju argumentacja może przekonać tylko tych sympatyków PiS, którym emocje wyłączają intelekt, ale z punktu widzenia „dobrej zmiany” dobre i to. Możliwe jednak, że rzecz jest poważniejsza i nie docenialiśmy głębi nieufności do Polski, którą zmiana ustawy o IPN wywołała w Kongresie USA i bardzo wpływowym lobby żydowskim w Ameryce. Być może okazało się, że niezależnie od tego, w jaki sposób zlikwidujemy przepisy karne, wiarygodne świadectwo moralności może nam wydać tylko Izrael. Potrzebny był zatem „certyfikat koszerności”, a tego nikt w polityce nie wydaje za darmo. W stosunkach z USA wiadomo, że jesteśmy stroną słabszą i za bezpieczeństwo musimy się jakoś wypłacać. Ale pisowscy awanturnicy zrobili z Polski w tym wymiarze kraj zależny także od Izraela. Nie wiem, jak się wypłacimy, czy za rok, idąc za prezydentem Trumpem jak za panią matką, przeniemy ambasadę z Tel Awiwu do Jerozolimy, czy też opowiemy się po stronie Izraela w kwestii ceł uniijnych na towary izraelskie wytworzone na terenach palestyńskich. Jakoś jednak będziemy musieli zapłacić, i to sporo.

Nie chcą płacić zasiłków

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej za nic ma wyroki niezawisłych sądów i Trybunału Konstytucyjnego.

Resort w piśmie do wojewody pomorskiego przypomina o bezwzględnym obowiązku przestrzegania ustawy o świadczeniach rodzinnych. A ta w punkcie 17. dzieli opiekunów niepełnosprawnych na tych, którym świadczenie się należy (opiekunowie dzieci lub dorosłych, u których niepełnosprawność powstała przed ukończeniem 18. roku życia, ewentualnie w trakcie nauki w szkole lub w szkole wyższej, jednak nie później niż do ukończenia 25. roku życia), i tych, którzy nie zasługują, bo opiekują się członkami swojej rodziny, którzy zaniemogli już jako dorośli. Trybunał Konstytucyjny stwierdził w 2014 r., że punkt 17. jest sprzeczny z konstytucją, ale minister Rafalska Trybunału też najwyraźniej nie poważyła. Przypomina wojewodzie, że co prawda Trybunał uznał przepis za naruszający równość obywateli wobec prawa, ale nie oznacza to, że wykluczył ten przepis ze stosowania.

Wojewoda pomorski zatem, poinstruowany w ten sposób przez minister Rafalską, upominał wszystkie miejskie i gminne ośrodki pomocy rodzinie, które przyznają i wypłacają świadczenia, że mają zasiłków

pielęgniacych dla opiekunów dorosłych niepełnosprawnych nie wypłacać. I to niezależnie od indywidualnych rozstrzygnięć sądów czy samorządowych kolegiów odwoławczych. Niby wojewoda nie może nakazać niczego samorządom, ale pismo wysłano. Urzędnicy Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie pokazali je Pawłowi Palmowskiemu ze Słupska, tłumacząc, że to, iż Wojewódzki Sąd Administracyjny w Bydgoszczy orzekł, że zasiłek mu się należy, nie ma żadnego znaczenia. Paweł Palmowski (64 lata) od kilku lat opiekuje się swoją niepełnosprawną 84-letnią matką. Musiał zrezygnować z pracy. W zamian dostał zasiłek opiekuńczy 520 zł. A świadczenie pielęgnacyjne jest trzykrotnie wyższe.

Odziwo nawet tak zwykle niezależny prezydent Słupska Robert Biedroń wykonuje instrukcje minister Rafalskiej. Przez rzecznikę wyjaśnia, że musi przestrzegać prawa, w tym wytycznych ministerstw. Palmowski wysłał pismo do Rady Miejskiej i interweniował w swojej sprawie u radnego Słupska Jerzego Mazurka. Rada Miasta zawiadomiła o tym prezydenta, wnioskując

o szybkie rozpatrzenie sprawy i zastosowanie się do wyroku sądu. W imieniu prezydenta Biedronia obywatelowi Palmowskiemu odpowiedziała wiceprezydent Słupska Krystyna Damińska-Wojewódzka, informując go, że Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przekazało samorządowym jednostkom rozpatrującym wnioski o świadczenia jednoznaczne stanowisko dotyczące przestrzegania ustawy, zwłaszcza punktu 17.

Stanowisko prezydenta Słupska poruszyło rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. W liście do Roberta Biedronia rzecznik przypomina, że w sprawie Pawła Palmowskiego zapadł wyrok sądu, bezwzględnie wiążący dla organów administracji samorządowej. Sprawa Pawła Palmowskiego nie jest jedyna. Podobnych w całym kraju wiele i wiele wojewódzkich sądów administracyjnych wydało podobne wyroki, przyznające opiekunom prawo do świadczenia. Orzeczenia tych sądów są konsekwentnie ignorowane przez zarządzające zasiłkami ośrodki pomocy rodzinie i ośrodki pomocy społecznej. – *Dlatego zwracamy szyki i składamy skargę na państwo polskie do Trybunału w Strasburgu* – mówi Palmowski. Reprezentować ich ma mecenas Monika Gąsiorowska, kiedyś adwokatka Alicji Tysiąc. ASO

REKLAMA



Darmowy transport

Na świecie jest dziś ok. 120 miast, które wprowadziły darmową komunikację miejską. Niewielu z nas zdaje sobie jednak sprawę, że połowa z nich to miasta... polskie. Od małego Świeradowa-Zdroju (5 tys. mieszkańców) po Lubin i okolice (106 tys. ludzi). Tak jest dziś. Ale w najbliższych miesiącach (wybory samorządowe) wiele się jeszcze może wydarzyć.

Jak do tego doszło? Dlaczego darmowy transport publiczny stał się tak ważnym tematem akurat w Polsce? I wreszcie: czy model da się przenieść do Warszawy, Krakowa czy Łodzi? Odpowiedź już za tydzień.

Partner główny projektu



Szczecin

Pozostali partnerzy: **miasto Sopot, miasto Bydgoszcz, miasto Gdańsk**

„Twoje Miasto – twój wybór” to program redakcji POLITYKI poświęcony życiu polskich miast. Wspólnie z ich włodarzami opowiadamy o najważniejszych wyzwaniach, najciekawszych pomysłach i największych sukcesach. Naszą akcję wspiera Rada Konsultacyjna tworzona przez ekspertów i partnerów, w tym Piotra Krzystka, prezydenta Szczecina.

[Kup książkę](#)



Łukasz Wójcik

Uchodźcy drażnią

Na ubiegłotygodniowym szczycie liderzy Unii mieli rozwiązać problem realokacji imigrantów. A zajmowali się głównie nastrojami niemieckich wyborców.

Przebieg szczytu zdefiniowały potrzeby dwóch państw. Dla nowego włoskiego rządu była to premiera na forum europejskim i okazja dla zaprezentowania ostrego kursu wobec samych imigrantów. Włoski premier Giuseppe Conte już w pierwszych minutach szczytu zapowiedział, że zablokuje wszystkie jego ustalenia (w tym decyzję o przedłużeniu sankcji dla Rosji), jeśli nie zapadnie decyzja o takiej zmianie systemu azylowego, która odciążałaby Włochy.

Włosi wystąpili m.in. o zmianę regulacji dublińskiej. Przewiduje ona, że wnioski azylowe muszą być rozpatrywane w pierwszym kraju, do którego dotrze imigrant. To w oczywisty sposób obciąża tzw. państwa frontowe, czyli głównie Włochy, Grecję i Hiszpanię. Gdy okazało się, że na tę zmianę nie ma szans, Rzym zaczął się domagać rekompensaty, czyli nowego pomysłu na „dystrybucję azylantów” w Europie, bo system rozdzielnicowy, przyjęty przez Unię w 2015 r., w praktyce nie działa. Ostatecznie premier Conte uznał wyniki spotkania za satysfakcjonujące i oświadczył, że Włochy „nie są już same” w kryzysie, choć decyzje samego szczytu – zawarte jedynie w politycznej deklaracji – wydają się iluzoryczne.

Włoskie żądania były tylko „scenografią w spektaklu urządzonym na użytek niemiecki”,

jak powiedział agencji Reuters jeden z uczestników szczytu, bo konflikt wokół imigrantów może obalić rząd Angeli Merkel. Najnowszy kryzys w Berlinie wywołał były już – jak się zdaje – szef MSW Horst Seehofer, który dwa tygodnie temu zapowiedział, że nakaze straży granicznej odsyłać wszystkich imigrantów, którzy złożyli wnioski azylowe w innym kraju Unii. Taki ruch Niemców wywołałby prawdopodobnie reakcję łańcuchową w całej Unii – kolejne kraje również zaczęłyby zamykać granice. I choć nie ma konstytucyjnej jasności, czy Seehofer mógł w tej sprawie sprzeciwić się kanclerzowi Merkel, jego słowo się liczy, gdyż jest on (był?) w rządzie federalnym przedstawicielem CSU, bawarskiego koalicjanta rządzących chadeków, bez którego Merkel nie ma większości w Bundestagu.

W obliczu buntu ministra Merkel poprosiła Bawarczyków o czas do końca czerwca na wynegocjowanie nowego porozumienia w sprawie imigrantów. Wraz ze zbliżającym się szczytem Rady stawało się jednak jasne, że żadnego porozumienia na poziomie unijnym nie będzie. Stąd ogólne i niewiążące postanowienia szczytu o utworzeniu tzw. kontrolowanych centrów dla imigrantów (czytaj: obozów) w chętnych krajach UE, które będą finansowane z unijnych pieniędzy. Stąd również desperacka obietnica utworzenia „platform” (czyli znów obozów) w krajach Afryki Północnej, do których trafiać będą imigranci zwróceniu z Europy.

Przy czym wszystkie północnoafrykańskie kraje z wyjątkiem Libii już zapowiedziały, że żadnych „platform” nie utworzą. Szef egipskiego parlamentu w wywiadzie dla „Die Welt” denerwował się na hipokryzję europejskich państw, które z jednej strony odwołują się do swojej suwerenności, blokując imigrantów, z drugiej jednak „chęć ich wciskać suwerennemu Egiptowi”.

Kanclerz Merkel próbowała ratować sytuację, tworząc bajpasy w postaci umów dwustronnych o tzw. readmisji z poszczególnymi państwami Unii, wzorowanych na umowie z Turcją z 2016 r. Po szczycie oświadczyła nawet, że udało jej się uzgodnić takie porozumienia z 16 państwami. O ile jednak Hiszpania i Grecja potwierdziły takie ustalenia, o tyle rządy Polski, Czech, Węgier i Słowacji – również wymienione przez Merkel – już zdążyły zaprzeczyć. Premier Czech Andrej Babiš oświadczył nawet, że jego rząd „nie prowadzi w tej sprawie z Niemcami żadnych rozmów”.

Problem z imigrantami w Europie żyje już własnym życiem. Bo przecież nie o samych imigrantów dziś głównie chodzi. 2015 r., w którym do Europy dotarło ponad 1,3 mln przybyszów, był ze wszech miar wyjątkowy, głównie z powodu wojny w Syrii. Od początku tego roku do Europy dotarło zaledwie



Uchodźcy z Afryki uratowani przez niemiecki okręt wojсковy.

42 tys. nieudokumentowanych imigrantów. Chodzi więc bardziej o polityczną percepcję problemu, a nie o liczby. Tyle że owa percepcja jest często ważniejsza od rzeczywistości, szczególnie w polityce.

Przez ostatnie dziewięć miesięcy rząd Angeli Merkel działał od kryzysu do kryzysu. We wrześniu niemieccy chadekcy wygrali wybory, ale ze słabym wynikiem. Efekt: kolejna wielka koalicja z socjalistami i kluczowa rola Bawarczyków z CSU. Ci z kolei we własnym landzie czują się zagrożeni z powodu rosnących notowań skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec, która próbuje zaatakować ich pozycję przed październikowymi wyborami do landtagu. Stąd twarde stanowisko Seehofera, który nie może okazać słabości przed wyborcami. Jeśli odchodząc z rządu, pociągnie za sobą CSU, Niemcy czekają prawdopodobnie nowe wybory. I miesiące politycznej destabilizacji.

W całym tym zamieszaniu umknął tylko fakt, że Europa nie posunęła się ani o krok do przodu w temacie, który jest źródłem obecnego kryzysu.



AMLO, prezydent zagadka

Andres Manuel Lopez Obrador wygrał wybory prezydenckie w Meksyku, zostawiając rywali daleko w tyle. Ale przyszłość kraju jest niejasna.

AMLO wygrał – ale będzie musiał rządzić krajem, w którym w czasie kampanii wyborczej zamordowano ponad stu polityków. Meksyk, szczególnie na prowincji, rozdziera krwawa rywalizacja między grupami przestępczości zorganizowanej. To nie tylko kartele narkotykowe, lecz także mafie żyjące z kontrolowania terytoriów, na których wymuszają haracze od wszelkiej działalności gospodarczej. Żaden z przywódców ostatnich kilkunastu lat nie był w stanie pokonać przestępczej hydry – przeciwnie: wyrastały jej coraz to nowe głowy.

Kiedyś przestępcze kartele kupowały polityków, dziś nie ufają nawet kupionym. Wystawiają w wyborach własnych kandydatów i odstrzelują rywali. To wielka zmiana ostatnich lat w meksykańskiej polityce, szczególnie tej lokalnej. Nowego prezydenta uważa się za człowieka lewicy, a gdy kandydował dwa razy wcześniej,

przeciwnicy straszili wyborców, że będzie meksykańskim Chavezem. W tej kampanii bardziej kompromitowało porównanie z Trumpem. Ale Lopez Obrador – mimo że w meksykańskiej polityce od kilku dekad – to polityk zagadka. Jako burmistrz stolicy stał mocno i na lewej, i na prawej nodze, a raczej przestępował z jednej na drugą. W kampanii obiecywał wsparcie państwa dla biednych, walkę z korupcją i bezkarnością. Tuż po wyborze przysięgał, że „nie będziemy kłamać, nie będziemy kraść i nie zdradzimy społeczeństwa”.

Wyborcy z uboższych klas społecznych fetowali zwycięzcę na ulicach, płacząc ze szczęścia. Ale dominującym uczuciem jest – jak donoszą korespondenci – wściekłość. Ludzie boją się przyszłości i boją się mafii, ale silniejsza od strachu jest ich wściekłość i pragnienie zmiany. Beneficjentem obu stał się Lopez Obrador.

Do łóżka z notariuszem

Uwaga, od 1 lipca w Szwecji weszła w życie ustawa o tzw. przyzwoleniu na seks!

Osoba, która podejmuje inicjatywę stosunku seksualnego, musi się upewnić, czy druga strona gotowa jest uczestniczyć dobrowolnie, dając na ten akt jednoznaczne przyzwolenie. Inaczej osobie inicjującej może grozić oskarżenie o gwałt lub molestowanie seksualne.

Szwedzkie media pełne są swoistych instrukcji, jak ma wyglądać owo przyzwolenie, żeby się nie skończyło sankcjami karnymi. Filmiki instruktażowe na tę okazję wyprodukowało RFSU, szwedzkie Stowarzyszenie Edukacji Seksualnej. Lansowana jest także aplikacja na smartfony, za pomocą której można szybko i prosto dokonać całej procedury. Na wszelki wypadek dostęp do aplikacji przez niepowołane osoby chroniony jest w podobny sposób jak dostęp do kont w mobilnej bankowości.

Oczywiście procedury powinny być stosowane tylko wtedy, jeśli partnerzy nie byłiby zgodni co do charakteru łączących ich stosunków. Ale w sumie któż jest tego pewien? Dlatego krytycy ustawy martwią się na zapas, że w razie konfliktu może ona być narzędziem szantażu. Zobaczmy za pół roku.

Wojny (bez)mięsne

Włóście do ministra spraw wewnętrznych 18 tys. francuskich rzeźników zaapelowało o ochronę przed zmasowanym atakiem wegan, „starających się narzucić społeczeństwu bezmięsny styl odżywiania”. Oberwało się też przy okazji mediom społecznościowym za „nadmierne i niczym nieuzasadnione lansowanie wegańskiego stylu życia”. Rzeczywiście, niemiłych incydentów w całym kraju było kilkanaście, głównie zamalowywanie czerwoną farbą rzeźniczych witryn; ale atakowane były także sklepy z serami, napisami: „Mleko to gwałt” i „Mleko to morderstwo”. W marcu jeden z wegańskich blogerów dostał siedem miesięcy w zawieszeniu za swój komentarz po zamachu w supermarkecie w Trèbes, gdzie wśród ofiar znalazł się rzeźnik: „Szokuje was, że morderca został zabity przez terrorystę? Mnie nie. Jest w tym sprawiedliwość”.



Obrońcy praw zwierząt przebrani za rzeźników podczas demonstracji w Paryżu.

Wojczyźnie boeuf bourguignon zadeklarowanych wegetarian i wegan jest od 3 do 5 proc. Ale bardzo szybko rośnie grupa flexitarian, jak ich się tu nazywa, którzy z rozmaitych powodów znacznie ograniczają konsumpcję mięsa. We Francji jest dziś 1691 restauracji „czysto wegetariańsko-wegańskich” (z tego 290 w Paryżu) i w ciągu ostatniego pół roku przybyło ich 450, tak mocny to trend. Umacnia go silny tu ruch obrony praw zwierząt, z Brigitte Bardot na czele, oraz makabryczne filmiki z ubojni, wrzucane systematycznie do internetu. Tam apel wkurzonych rzeźników traktowany jest jako akcja promocyjna w przegranej sprawie. Ale i druga strona ma pewne sukcesy: parlament odrzucił niedawno pomysł, aby we francuskich szkołach jeden dzień w tygodniu był bezmięsny. Szykowany jest też projekt ustawy, aby zakazać używania nazw: stek, filet, bekon czy parówka w odniesieniu do wyrobów, które nie zawierają mięsa. Bo inaczej – jak twierdzi szef federacji rzeźników CFCBT Jean-François Guilhard – wkrótce wyparuje cały obszerny sektor francuskiej cywilizacji.



© MAREK KWIATKOWSKI, LESZEK ZYCH

Po co komu studia?

Ruszyła rekrutacja na studia.
A wraz z nią wróciły wątpliwości:
co warto studiować? Po co?
Na jakiej uczelni? I czy w ogóle?

W

JOANNA CIEŚLA, JOANNA PODGÓRSKA

śróđ studentów humanistyki krąży dowcip: Do urzędu pracy zgłasza się młody absolwent i pyta: czy jest jakaś praca dla kulturoznawcy? – Tak – odpowiada urzędniczka – pensja

7 tys. zł na rękę, służbowy telefon, samochód i możliwość szybkiego awansu. – Pani żartuje! – A kto zaczął?

Wraz z ogłoszeniem wyników matur dobiegnie finału pierwsza tura rekrutacji na studia. Około 330 tys. młodych ludzi zgłosiło akces na wyższe uczelnie; teraz komputerowe algorytmy przemielą maturalne punkty i rozparcelują ich po wydziałach. Dla tych, którzy nie dostaną się na pożądany kierunek, niemal od razu ruszy druga tura naboru, potem następne. Polskie uczelnie oferują 900 kierunków studiów, stacjonarnych i niestacjonarnych, płatnych i wolnych od opłat.

Przez ostatnią dekadę studentów systematycznie jednak ubywa. Jak podaje GUS, z 1,94 mln w 2007/08 r. zostało ich 1,3 mln w mijającym roku akademickim. Główny powód to niż demograficzny, ale i zainteresowanie nauką na uczelniach w ostatnich latach powoli malało. To z kolei może być efekt wielkiego edukacyjnego oszustwa, jakim był wysyp „akademii tego i owego” – małych, prywatnych uczelni o żenującym poziomie. Powstało ich grubo ponad 300. Oferowały na wpół fikcyjne etaty uznanym wykładowcom z dużych ośrodków akademickich. Rekordziści mieli ich nawet po kilkanaście. Złośliwi nazywali ich „obwoźnymi dostawcami usług edukacyjnych”. W skrajnych przypadkach władze „akademii” sugerowały, że: pan profesor nie musi się stale fatygować, ważne, by jego zdjęcie wisiało w gablocie. Młodzież głównie ze wsi i małych miasteczek szturmowała te niby-szkoły, bo jej wmówiono, że dyplom otwiera ścieżki kariery. Potem okazało się, że ma on wartość papieru, na którym go wydrukowano. Na szczęście demograficzny niż i ucywilizowanie przepisów likwidujących patologiczną wieloetatowość sprawiły, że większość „akademii” (choć nie wszystkie) zniknęła. Ale zaufanie do systemu szkolnictwa wyższego zostało nadszarpięte.

Inżynieria i analiza danych

Ci, którzy zaczęli studia zaraz po maturze, w rekordowym 2010/11 r. stanowili 40,8 proc. wszystkich 19–24-latków, w 2016/17 r. – już 36,8 proc. W mijającym roku akademickim statystycy znów zauważyli lekki wzrost, do 38 proc. studiujących młodych. To daje do myślenia, bo jeszcze półtora roku temu obawiano się, że komisje rekrutacyjne dotkliwie przykręca kandydatom śrubę. Ministerialne rozporządzenie uzależniło dofinansowanie z budżetu dla uczelni od liczby studentów przypadających na wykładowcę – najwyżej 13 na jednego. Ale – może właśnie przez wspomniany niż – nabory ograniczyła tylko część szkół wyższych.

Decyzje o tym, ile osób przyjąć na różne kierunki studiów, władze wydziałów podejmują na podstawie zainteresowania kandydatów z ubiegłych lat i liczby pracowników, którymi mogą ich obsłużyć. W ubiegłym roku rekordową popularność, mierzoną konkurencją wśród chętnych, zyskał kierunek „inżynieria i analiza danych”, gdzie startowało po 54 osoby na miejsce; na prowadzącej ten kierunek Politechnice Warszawskiej w tym roku przewiduje się jednak nadal przyjęcie tylko 30 studentów. Dalej na podium było zarządzanie inżynierskie – 19 kandydatów na miejsce – i z niemal taką samą liczbą chętnych chemia i toksykologia sądowa. W liczbach bezwzględnych najwięcej chętnych (ponad 40 tys.) było na informatykę. Kolejne miejsca zajęły zarządzanie, psychologia, ekonomia i prawo.

Wykładowcy przypominają, że sami nie rozumieją uporu kandydatów w wyborze niektórych kierunków. Według brytyjskich badaczy aż 98 proc. zawodów związanych z finansami w najbliższych latach zniknie, pozostaną te wymagające swoistej kreatywności: – Tymczasem 62 proc. studentów mojej uczelni od 25 lat wybiera finanse i rachunkowość, zapycha rynek; ich młodszy koledzy już dawno nie mają gdzie pracować – zwraca uwagę profesor wyższej szkoły ekonomicznej.

Na podstawie danych GUS można szacować, że nasz system edukacyjny już szykuje kolejne 15 tys. dziennikarzy, 35 tys. politologów i ponad 100 tys. pedagogów. Gdzie znajdą pracę?

Z drugiej strony rysują się też wyraźnie nowe trendy. Do czołówki popularności na wielu uczelniach weszła weterynaria. Na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim należy do najbardziej pożądaných kierunków – pięć osób na miejsce, a jednocześnie tu jest największy nabór – 200 osób na rok. UWM od dwóch lat idzie za ciosem i proponuje również studia „zwierzęta w rekreacji, edukacji i terapii”. Na wielu uczelniach po 10 chętnych ubiega się o miejsce na kryminologię lub skandynawistykę. Wydziały

filozoficzne oferują modny ostatnio kierunek – kognitywistykę. Jednocześnie co roku szkoły wyższe sondują grunt nowymi ofertami. UJ od października proponuje studia latynoamerykańskie, Uniwersytet Łódzki – m.in. kierunek ekomiasto, który ma kształcić specjalistów od zrównoważonego rozwoju miast, tworzących wizje i plany ich rozwoju.

Młodzi są skłonni do tego rodzaju eksperymentów. A co innego właściwie mieliby zrobić? Zwłaszcza ci z inteligenckich domów, którzy czują presję rodziców. Matka maturzysty, która próbowała podejmować z nim dyskusję o kierunku studiów, usłyszała: Nie przejmuj się, przyniosę ci ten dyplom, bo to o to chodzi, prawda? Według badań GUS blisko 80 proc. Polaków chce wyższego wykształcenia dla swoich dzieci.

Z obserwacji wykładowców wynika, że o wyborze kierunku często decyduje przypadek (np. dobra reklama wydziału), sieci rówieśnicze czy wręcz geografia – ktoś chce studiować w Warszawie, Gdańsku czy Krakowie. A co? To już kwestia wtórna. Zwłaszcza że wnioski o przyjęcie na studia składa się szerokim gestem – od administracji począwszy, przez bezpieczeństwo żywności, po archeologię. Jeśli na najbardziej pożądanym kierunku zabraknie punktów, w kolejce czeka ten drugiego wyboru, a za nim kolejne. Ograniczeniem są na ogół tylko zdawane na maturze przedmioty. A większość uczelni na większości kierunków zostawia kandydatom dużą swobodę tego, czym się wykazać.

Adam, dziś na II roku niszowego kierunku przyrodniczego, w przeszłości student prawa, politologii i administracji, przyznaje, że on sam i wielu jego kolegów decyzyje o studiowaniu podejmowali pod wpływem popularnych seriali. – *Ktoś lubi „Dr House’a”, więc postanawia iść na medycynę, a potem się dziwi, że to nie tak wygląda jak w filmie. Kryminologia czy skandynawistyka to kierunki też często wybierane na fali popkultury.*

Dr hab. Hanna Mamzer, wykładająca na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, ma wrażenie, że osoby, które przychodzą studiować na jej wydział – czyli socjologię – nie mają sprecyzowanych oczekiwań. Ani też wyobrażeń o tym, co po studiach z ich rozwojem, karierą miałyby się dziać. – *Myślenie, które ciągle pokutuje – że na studia idzie się, żeby mieć zawód – w dzisiejszej rzeczywistości społecznej jest zupełnie nieadekwatne. Rynek pracy zbyt szybko i zbyt drastycznie się zmienia. W wielu miejscach potrzebne jest łączenie kompetencji, które wykraczają poza jedną profesję, np. socjologa i informatyka albo socjologa i lekarza. Na uczelniach wyższych, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych, możemy zaoferować pewną podstawową wiedzę, ale też nie ma sensu na wykładach zasypywać ludzi zbyt wieloma faktami. Powinniśmy proponować ewentualnie znajomość metodologii, prowadzenia badań, ale przede wszystkim rozwijanie krytycznego myślenia, zdolność do dyskusji, selekcji informacji.*

Hanna Mamzer obawia się jednak, że studenci nie odczuwają specjalnie takich potrzeb. Co przypisuje systemowi powszechnej edukacji, który coraz skrupulatniej owe potrzeby z nich ruguje: – Mam poczucie, że jest im wszystko jedno. Gdy pytam o oczekiwania – co by chcieli zrobić na zajęciach – odpowiadają odtwórczo: chcą się spotkać z organizacją, którą już znają. Nie formułują autentycznych oczekiwań, bo nie potrafią ich nazwać, zdiagnozować swojego stanu.

Masa tabulettae

Wykładowcy kierunków humanistycznych szacują ostrożnie, że jedynie około 10 proc. studentów to ci, którzy dokonali świadomego wyboru. Podobnie na archeologii – te 10 proc. liczbowo to tyle, ile w czasach niskiego wskaźnika skolaryzacji dostawało się na te studia. Reszta to tzw. spady, czyli ci, którzy nie dostali się na inne wybrane kierunki, np. romanistykę. Dla kadry naukowej to problem, bo trudno uczyć ludzi, których nie interesuje to, co studiuja. ►